

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

16

Ciąg dalszy.

A to tembardziej, że żadne prośby, protekcje, łapówki nie zdołały go zachwiać w pełnieniu obowiązków służbowych.

Kawaler, około czterdziestu lat, uchodził w kole swych znajomych za wykwiutnego estety. Zawsze nienagannie ubrany, z twarzą smagłą, brunet z małym wąsikiem, szczupły, zgrabny, miał znaczne powodzenie u kobiet i one jedne i jedyne były słabą stroną jego charakteru tak urzędowego, jak i prywatnego.

Była godzina popołudniowa i Paweł Pawłowicz rozparty w wygodnym fotelu przed biurkiem, przeglądał papiery urzędowe, które były potrzebne na dzisiejsze wieczorne posiedzenie. Były to raporty ochrony, żandarmerii, policji o ruchu rewolucyjnym i o następstwach zarządzonych represyjnych środków. Z miną znużoną i kwaśną rzucał na biurko raport po raporcie i mruknął:

— Wsió mieloc... pustiaki...

Mimowolnie rzucił okiem przez otwarte okno na przeciwną kamienicę i przyzwyczajony do zamkniętych okien, spuszczonej rolet, ujrzał teraz otwarte okna i snujące się po mieszkaniu kobiety, widocznie zajęte urządzaniem pokoi. To go zaciekało, tem bardziej, że kobiety były zgrabne, młode i o ile mógł dojrzeć, ładne.

Nie wstając z fotelu, sięgnął po lornetkę, leżącą na biurku i zaczął patrzeć. Na twarzy trochę zmęczonej i poświadczonej, zjawiał się drobny uśmiech zadowolenia. Istotnie te kobiety były ładne, wesołe, a ruchy ich miały dużo wdzięku i harmonii.

Po chwili nacisnął guzik dzwonka elektrycznego i do wchodzącego lokaja rzekł po rosyjsku:

— W kamienicy naprzeciw na pierwszym piętrze — wskazał ręką — ktoś się wprowadził. Pójdiesz do stróża lub rzadcy, dowiesz się imię, nazwisko, imię ojca, co za jedni, skąd, ile płaca, zapiszesz to sobie i wracaj natychmiast.

Lokaj uklonił się i zniknął za drzwiami.

Paweł Pawłowicz spojrzał znów przez lornetkę, a nie widząc nikogo, wstał z fotelu, przeciągnął się i włożywszy ręce w kieszenie, zaczął przechadzać się po gabinecie, przystając czasem to przed obrazkami nagich i półnagich kobiet w różnych zmysłowych pozach, to znów zaglądał w okna przeciwną i nagle pospiesznie podszedł do biurka, pochwycił lornetkę i przyłożył ją do oczu.

W oknie ustawiała kwiaty Logika a podawała je Wanda.

Logika w lecintkiej bluzce, po przez którą rysowały się wyraźnie jej kształty, z uśmiechem na zaróżowionej ze zmęczenia twarzy, z pysznymi włosami, które wymknęły się z fryzury, nęły w ruchomą ramkę twarz rozweseloną, wyglądała przesłicznie. Od czasu do czasu nachylała się nad kwiatem rozwiniętym, rozkoszowała się zapachem i białą, delikatną ręką prostowała liście i gałązki.

Chwilami Logika cofała się w głąb pokoju, a przy oknie stawała Wanda, a żywe jej ruchy, błyszczące oczy, wytworne kształty i rysy twarzy wrażliwe, rozbawione, zdradzały olbrzymi zasób energii życia i młodości, że trochę przeżyty Paweł Pawłowicz promieniał z radości na myśl uścisku i pocałunku tej dziewczyny.

Sam nie wiedział, która z nich podobała mu się bardziej i jedna i druga były na równi pożądane. Wiedział, że był przystojny, wpływowy i dość zamożny, nie wątpił, że zdobędzie, jeśli nie serce, które tak dalece w grę nigdy nie wchodziło u niego, to w każdym razie pożądane względy.

Obie kobiety zniknęły w głąb pokoju, wysłany lokaj nie wracał, więc trochę z nudów, trochę z przyzwyczajenia podszedł do wielkiego, wiszącego lustra i zrobił szczegółowy przegląd swej postaci.

Katy czoła zbyt głębokie zakrył starannie, rozczesując na boki przerzedzone włosy ciemienia, wąsiki podkreślił w górę, aby odsłonić dość jeszcze świeże wargi, poprawił gniazdko modnej krawatki i znów przeszedł się po pokoju, rzuciwszy okiem przez drzwi do przyległej sypialni. Nad szerokim łóżkiem wisiał tam obraz przedstawia-

jący nagą, leżącą kobietę, która leniwym ruchem przesypywała złote monety, leżące stosami na dywanie.

Wszedł lokaj i opowiedziawszy o swych staraniach, podał kartkę z nazwiskami. Paweł Pawłowicz czytał półgłosem:

— Ewa Ogniewska, córka Bronisława, panna, lat 20... Wanda Balkowska, córka Zygmunta, panna, lat 18...

Zastanowił się przez chwilę, która z nich jest Ewa a która Wanda? Obie były szatynki, różniły się tylko odcieniem, a koloru oczu zbliżenie nie dojrzał, wiedział tylko, iż były ładne i błyszczące.

Dojrzawszy poprzednie ich mieszkania, przystąpił do telefonu i połączywszy się z kancelaryą komisarza odpowiedniego cyrkulu, spytał najpierw o Ogniewską.

Otrzymał odpowiedź po chwili, że mieszkała w tym cyrkule, utrzymywała się z własnych funduszy, a politycznie nie była notowana.

Z cyrkulu łazienkowskiego dowiedział się, że Wanda mieszkała czas krótki u pani Kulińskiej; przyjechała ze wsi.

— Nigdy nie nie wiedzą — mruknął zniechęcony, jednak po chwili głębszego zastanowienia przypomniał sobie, że nazwisko Kulińska nie jest mu obce.

Wreszcie stwierdził z przyjemnością siłę swej pamięci, że Kulińska jest matką urzędnika ministerstwa. Balkowska więc jest albo znajomą, a może kuzynką Kulińskiej, gdyżby jednak była krewną, mieszkałaby u niej, a nie przeprowadzałaby się tutaj.

W przedpokoju zabrzmiał dzwonek i po chwili lokaj wręczył mu bilet, na którym było napisane: Iwan Iwanowicz von Plessen, podpułkownik żandarmerii.

— Proś.

Do gabinetu wszedł szpakowaty blondyn, z przydługą twarzą, z wąsami w górę podkręconymi, w mundurze błyszczącym nowością. Witali się jak dwaj dawni znajomi a zapaliwszy papierosy usiedli na fotelach w głąb pokoju, ale tak, że mogli widzieć przeciwną okna.

— Jest co nowego u was Iwanie Iwanowiczu? — spytał gospodarz.

— Nowego, jak nowego — wzruszył ramionami — jest to zwykły rozwój rewolucyjny. Gdy zaopatrzyl się w pieniądze z naszych kas rządowych i sklepów monopolowych, zabierają się teraz do nas.

— Jakto?... Nie rozumiem dobrze — patrzył badawczo w twarz podpułkownika.

— Nie otrzymaliście listu z pieczęcią czerwoną? — zdziwił się.

— Nie.

— Więc prawdopodobnie otrzymacie — uśmiechnął się — i muszę przyznać, że ci polscy socjaliści są lepiej wychowani aniżeli nasi, ruscy. Najpierw wysłali seryj listów z groźbą śmierci, jeśli dana osobistość nie zmieni swego postępowania lub nie usunie się z kraju... teraz przyszła lub przyjdzie kolej na listy z wyrokami śmierci.

— I wy Iwanie Iwanowiczu mówicie to tak spokojnie! — obruszył się Paweł Pawłowicz — przecież na taką anarchię nie możemy pozwolić.

— Czyż oni pytają o pozwolenie? — uśmiechnął się drwiąco — a papier cierpliwy i pocztą funkcjonuje.

— I skończy się na listach, nieprawdaż?

— Hm... nie wiem. Jak wiecie Pawle Pawłowiczu, kilkunastu niższych czynów z policji i żandarmerii, spełniających gorliwie swe obowiązki zabito, a sprawcy uciekli.

— To wada policji... nie czuwają należycie, nie dozorują.

— I zawsze sprawcy uciekną — rzekł podpułkownik z naciskiem — bo przeciw nam jest cała ludność kraju.

— Dawniej jednak tego nie było — westchnął Paweł Pawłowicz.

— Bo nie było wojny japońskiej — mówił z goryczą podpułkownik — bo nie było Mirskiego, Bułygina, nie było wahań, nie było obietnic... ale nie o tem miałem mówić.

— Słucham was.

— Przed kilkoma dniami zrabowano w kopalni skład dynamitu i tylko małą część udało nam się odszukać na kolei w Warszawie, reszta jest na miejscu do fabrykacji bomb... trzeba więc wzmocnić ochronę osób wysoko postawionych i należy im unikać ulic ludniejszych.

— Możecie to przecież sami powiedzieć na dzisiejszym posiedzeniu.

— Zależało mi na tem, abyście poparli tę sprawę. Zamach skuteczny na wysoką osobę tylko rozzuchwiał czerwonych.

— Rozumiem... A kto przychwycił część dynamitu?

— Cieslarskiej, wyborczy wyżeł.

— Znam go... to taki niepozorny człowiek... był raz potrzebny przy przejeździe wysokiej osobistości.

— Tak, tak... on żył się z Polakami i jeśli nie przewidzi, to przeweszy każdą ich chytrą... Co robicie po posiedzeniu? Czy macie już plan jaki?

— Nie myślałem o tem — i rzucił okiem na przeciwną okna.

— Hm... a może u was jaka ptaszka? — śmiał się — bo wy Pawle Pawłowiczu na te rzeczy łasy, jak kot na myszy.

— Nie w tych czasach Iwanie Iwanowiczu... teraz roboty mnóstwo — wskazał na biurko, założone papierami.

— Robota robotą, a człowiek potrzebuje odczekać, zabawić się... Czy macie co nowego? Wy Pawle Pawłowiczu znani jesteście, że kochacie się w nowości.

— Może dawniej — uśmiechnął się mile poglaskany — ale człowiek się starzeje — znów zerknął w okno, w którym stanęły Logika i Wanda spinające firanki.

Logika stała na krześle i widoczną była cała jej postać, a przy przeginananiu uwidoczniły się kontury jej sprężystego ciała.

Podpułkownik poszedł za oczyma gospodarza, a widząc naprzeciw dwie kobiety, zaśmiał się mówiąc:

— Otóż i nowe sitka Pawle Pawłowiczu... no i ładne obie... wieszam wam gustu.

— Dajcież spokój — uśmiechał się — to świeże sąsiadki, wczoraj się sprowadziły.

— Jeśli nie należą do was, to wolno im się przypatrzeć.

— Wasza wola, lornetka na biurku.

Podpułkownik patrzył przez dłuższą chwilę, a odkładając lornetkę, dodał:

— Obie ładne, młode i jak to nasi mówią, ładne, nie kobiety.

— No tak, ale to Polki.

— Cóż to przeszkadza — zaśmiał się — dziś przecie konstytucja, wolność wyznań... Wiedziecie może Pawle Pawłowiczu, co za jedne?

— Mam gdzieś ich nazwiska — poszukał kartki i podał.

— To tylko nazwiska — rzekł lekceważąco podpułkownik — zasięgaliście informacji?

— Pytałem w policji...

— I nic nie wiedzą, jak zwykle — drwił — a nie ciekawicie byli co w ochronie, albo u nas?

— Nie pytałem, lecz gdybyście byli tak dobrzy Iwanie Iwanowiczu...

— Telefonuję — wstał podpułkownik i przystąpił do aparatu.

Paweł Pawłowicz przeszedł do sypialnego pokoju, aby się przebrać, a gdy wyswieżony, uperfumowany wrócił, podpułkownik zapalając papierosa, mówił:

— Nic stanowczego nie mogę wam powiedzieć o nich. Jedną z nich, Ogniewską jest na oku, zachodzili do niej ludzie niepewni; o drugiej, Balkowskiej, nic nie wiadomo.

— To nie wiele — uśmiechnął się drwiąco.

— A moim zdaniem bardzo wiele i sądziłem Pawle Pawłowiczu, że macie w ręku łatwą grę. Zważcie tylko, u jednej z nich bywali niepewni ludzie, jeśli dawniej odwiedzali, to i będą odwiedzali teraz. Wymiarkować kto, pochwycić nitkę... a nie potrzebuję was uczyć, jak dojść do kłębka — śmiał się.

— Ach tyle zachodu, pracy, czasu... czy to warte?

— A to już wasza rzecz. Chciałem wam tylko dowiedzieć, że co innego ochrona a co innego policja — spojrzał na zegarek — idziemy, na nas już czas.

Rada miała się odbyć w prywatnym mieszkaniu generała Czerniejewa, tam też udali się obaj do rożka.

Weszli do gabinetu obszernego z dwoma oknami, umeblowanego surowo, niemal po żołniersku. Prócz jednego szezlonga skórą obitego reszta mebli była dębowa. Na ścianie portret panującego cesarza i jego żony, na biurku fotografia żony i dwojga dzieci.

Paweł Pawłowicz, korzystając z nieobecności generała, porządkował swe papiery na bocznym stoliku.